



CEZARY HARASIMOWICZ

CUDOWNA ŁYŻECZKA

Biely

LIRA
WYDAWNICTWO

ILUSTRACJE
KARINA PIWOWARSKA

CUDOWNNA
ŁYŻECZKA

Biely

CEZARY HARASIMOWICZ

**CUDOWNNA
ŁYŻECZKA**

Biely

**ILUSTRACJE
KARINA PIWOWARSKA**

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2026
ISBN: 978-83-68577-74-7



J

estem bardzo błyszcząca. Bo jestem ze srebra. Z prawdziwego, najprawdziwszego srebra. A, i powiem wam w tajemnicy, że jestem cudowna. Jestem cudowną srebrną łyżeczką nie dlatego, że się błyszczę jak gwiazda na bezchmurnym niebie, ale dlatego, że moja historia jest nadzwyczajna. Naprawdę. Posłuchajcie...



Nie pamiętam, jak długo byłam w posiadaniu Państwa Rochmanów. Coś mi się zdaje, że Pani Henia Koper dostała mnie w prezencie ślubnym od teściów,

razem z piękną zastawą stołową. Miałam braci. Czyli widelce. Były też siostry — dumne łyżki do zupy, oraz noże do krojenia. Noże... Noże traktowały mnie z ciętym poczuciem wyższości:

— Ty, mała, nie pchaj się na moje miejsce. Ja leżę po prawej stronie, ostrzem do talerza. Zmykaj, mała. No bo jeszcze musi być obok mnie miejsce dla łyżki stołowej, no nie?

To się zabrałam na lewą stronę talerza. A tam — pamiętam — nastroszony widelec odezwał się do mnie tymi słowami:

— Gdzie mi tu, mała? No już stąd!

— No właśnie!!! — zakrzyknęły chórem widelczyki. Wiecie, takie małe widelczyki. — Tu, tu, tu! Chodź do nas!

— Dokąd?... — pytam speszona, bo ja jestem nieśmiała i często czuję się zagubiona.

— No jak to gdzie? Nad talerz — woła chór widelczyków. Chór jest słodki, bo te małe widelczyki są do deseru.

Więc sunę po śnieżnobiałym obrusie nad talerz, gdzie moje miejsce na stole.

— Tylko mnie nie trącaj — burczy dźwięcznie talerz — bo jestem delikatny. Jestem z porcelany i się bardzo obawiam, że będę obtłuczony.



— Przepraszam najuprzejmiej — mówię grzecznie. Ostrożnie sadowię się u wezglowia talerza, czyli na samej górze dystyngowanego naczynia.

A te uparciuchy widelczyki znowu w krzyk:

— Jak????!! No jak leżysz?

— A jak mam leżeć? — pytam i już mi się chce płakać, bo inne łyżeczki, niby siostrzyczki, mogłyby stanąć w mojej obronie, a one milczą i tylko sobie obojętnie błyszczą. Bo niby takie mądralę, bo wiedzą, jak leżeć, wiedzą, gdzie jest ich miejsce, a ja nie wiem i jeszcze bardziej czuję się zagubiona na wielkim stole.

W końcu deserowe widelczyki zlitowały się nade mną:

— Połóż się poziomo, kochanie, trzonkiem w prawo. O tak. My sobie będziemy leżeć niżej, trzonkiem w lewo.

I tak było prawie za każdym razem, w każde święto, podczas każdej kolacji, w każdy piątek, w każdy szabas, wiecie: szabas to takie święto, dzień odpoczynku, trwający od zachodu słońca w piątek do zachodu słońca w sobotę. Obchodzi się je na pamiątkę dnia, w którym Bóg odpoczął, ciężko zmęczony stwarzaniem świata. Nie należy wtedy pracować, to czas poświęcony modlitwie i wspólnemu spotkaniu przy rodzinnym stole, na którym rozłożą się kuszące,







pyszne dania. Chała — pleciony, słodkawy chleb. Rozdziela się ją paluszkami i do tego niepotrzebne są ani nastroszone widelce, ani dumne łyżki, ani ostre noże, ani chór widelczyków, ani oczywiście łyżeczki, takie jak ja i moje milczące siostry. Następnie podaje się *kneidlach*, czyli rosołek ze wspaniałymi kulkami macowymi. Duże łyżki idą w ruch! Potem jest *gefilte fisz* — słodkawa ryba faszrowana, podawana na zimno z galaretą — już się prężą do boju widelce. Wreszcie na odświeżny stół wjeżdża pieczony kurczak z warzywami i teraz noże mogą sobie ostro poużywać. Kiedy podadzą kompot z suszu, wszystkie sztucce będą mogły ciut odetchnąć. A ja leżę i czekam na swoją kolej, i nie mogę się doczekać.

Nareszcie! Jest deser — *cymes*! Słodkiutkie danie z marchwi, z suszonymi śliwkami lub morelami. Mniam! Szykuję się do roboty. Lecz ja ci tu patrzę, a tylko niektórzy goście chwytają łyżeczki, wiecie, te moje milczące siostrzyczki. Reszta towarzystwa zabiera się do deseru, ujmując w palce widelczyki. Jeden z nich zerka w moją stronę, jakby chciał dziabnąć małymi ząbkami.

— Głupio ci, no nie, mała?

Widelczyk pewnie ma ochotę mnie jakoś jeszcze bardziej upokorzyć, ale na szczęście znika z deserem



w buzi Pana Arona. Pan Aron jest tatą Pani Heni i ma zacząć buzię, bo okoloną gęstą brodą, a na głowie nosi małą czapkę z atłasu, która nazywa się jarmułka.

Zaraz chyba się rozplączę. Czuję się okropnie osamotniona — zostałam jedna jedyna bezrobotna na stole. No tak... przypadło mi miejsce przy talerzu Pani Sary. Znowu miałam pecha. Jak zwykle, jak w każdy szabas, jak w każdy piątek — słyszę te słowa Pani Heni:

— Nie jesz deseru, mammo?

— Oooo... — kryguje się Pani Sara, odkładając mnie na stół. — Chyba muszę się wziąć za siebie, bo... — jeszcze bardziej kryguje się Pani Sara Rochman — ...bo znowu przytyłam.

— Ale gdzie tam!!! — oponuje jeden z gości, kuzyn Państwa Rochmanów.

Ten pan — zapomniałam, jak miał na imię — bardzo lubi się przymilać do gospodarzy. Bo Państwo Rochmanowie to zamożna rodzina, a ten pan — naprawdę, wyleciało mi z głowy, jak się nazywał — narobił ponoć długów i liczy, że gospodarze pomogą mu jakoś wyjść z kłopotów. Pan Rochman miał fabrykę, która produkowała skórzane rzeczy dla wojska. A Pan Josek Koper, mąż Pani Heni, był współwłaścicielem banku.

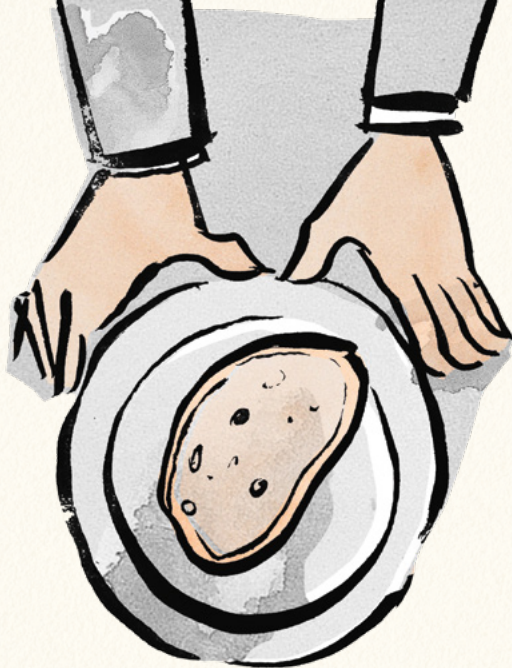


Tak oto zostałam na obrusie — sama jak palec. To znaczy... nie jak palec, bo to przecież głupio by wyglądało: samotny palec na stole. Zostałam jak samotna, opuszczona przez wszystkich łyżeczka. I co z tego, że srebrna i się świeci?!

Nagle Pani Henia podnosi mnie ze stołu. Patrzy swoimi pięknymi, zielonymi oczami, głęboko zanurzona w myślach. Te oczy, zielone i piękne, zaiskrzyły nagłym smuteczkiem. Pani Henia zapadła się w swój cichy żal. Ale na szczęście jej mama, Pani Sara, odebrała mnie ze szczupłej dłoni córki i teraz ona wpatrywała się w mój blask.

Nie potrafiłam odgadnąć smutnych myśli mamy i jej zielonookiej córki. Ale poczułam się mniej nieszczęśliwa, bo ciepło dłoni Pani Sary nappełniło mnie jakąś nieodgadnioną tajemnicą i nadzieją. Nie czułam się już samotna.





N

iestety, moje chwilowe szczęście przysnęło wkrótce jak bańka mydlana. Całej rodzinie Państwa Rochmanów i Pani Heni, i jej mężowi kazano wynieść się do biednej dzielnicy Warszawy. Musieli opuścić bogaty dom przy ulicy Królewskiej i zamieszkali na ulicy Nalewki, gdzie w ciasnym mieszkaniu tłoczyli się razem z innymi lokatorami. Pewnie jesteście ciekawi, co takiego dziwnego się stało, że zmuszono ich do przeprowadzki? Wybuchła wojna. Warszawę zajęli okupanci, czyli Niemcy. I ci okupanci wymyślili sobie, że tacy ludzie jak Pani Henia, Pan Jasek, Pani Sara i Pan Aron są gorszymi ludźmi i nie



mogą mieszkać w okazałej kamienicy, tylko muszą się gnieździć w biednym mieszkaniu na Nalewkach. Bo są Żydami. Ta dzielnica, do której spędzono Żydów, nazywała się getto. Wkrótce getto zostanie otoczone wysokim więziennym murem. Jeśli ktoś odważy się przekroczyć ten mur — zostanie zabity.

Ja tego wszystkiego z początku nie rozumiałam i zaczęłam męczyć moich kuzynów, o co chodzi i co się dzieje. Ale ani widelce, ani łyżki, ani noże, ani widelczyki, ani moje siostry łyżeczki nie potrafili mi wytłumaczyć tej zagwozдки — że są gorsi i lepsi ludzie.

— Czuję, że mi się zęby prężą do ataku — warknął widelec.

— Gdybym mogła, to okupanta ochlapałabym zupą — zadeklarowała łyżka.

— Ha! Będę ostry jak brzytwa! — krzyknął nóż.

— Zawsze mogę dziabnąć w obronie własnej — zameldował widelczyk.

No a co z łyżeczkami? Żadna łyżeczka nie zadeklarowała gotowości do walki. Milczały jak zwykle. Trochę mi było wstyd, że są takie tchórzliwe i nie stać je na obronę przed przymusową eksmisją, ponieważ i upokorzeniem. Postanowiłam przygotować się do obrony. Przyznaję — nie miałam żadnego planu, ale wyslizgnęłam się z futerału, w którym mieszkaliśmy



całą naszą srebrną rodziną. Schowałam się pod ręcznikiem Pani Heni, żeby przemyśleć strategię działania.

A potem było tak:

Cały dobytek Państwa Rochmanów, Pani Heni i Pana Joska musiał się zmieścić na furmance, którą powoził znajomy Pan Paweł. Pan Paweł nie musiał się przeprowadzać do getta, bo nie był Żydem. Ale był przyjacielem Pani Sary i Pana Arona i w ogóle podobno Pan Paweł był bardzo pomocny. Kiedy ta furmanka z dobytkiem i z futerałem ze srebrnymi sztućcami przekraczała granicę getta, została zatrzymana przez wartownika, takiego żołnierza w blaszanym hełmie i z groźnym karabinem na ramieniu. Ten okupant, ten Niemiec, zaczął sprawdzać, co tam cennego znajduje się na furmance. I wyciągał różne rzeczy. Aż mi się chyba zgiął trzonek z przerażenia, kiedy usłyszałam krzyk porcelanowego talerza:

— Ej! Ratunku! Zaraz mnie roztluczesz, bandyto! Zostaw, zostaw mnie!

Na nic zdała się rozpacz nieszczęśnika. Talerz wyrwał się z szorstkich łapsk i spadł na bruk, gdzie roztrzaskał się na kawałki. Biedny talerz... Wolał zginąć, niż iść w obce ręce. Ten bandzior w żelaznym hełmie i z karabinem na ramieniu zaczął ze złości z jeszcze większą zawziętością szperać w dobytku Państwa







Rochmanów i w rzeczach Pani Heni i Pana Joska. Wtuliłam się w dno walizki, okryłam się ręcznikiem, żeby mnie te chciwe łapska nie dopadły.

Aż tu nagle słyszę przeraźliwe krzyki rozpacz. To moja srebrna rodzina wzywała pomocy. Wartownik znalazł futerał ze sztućcami. No niestety... Ani widelce, ani noże, ani łyżki, ani widelczyki nie zdołały obronić się przed grabieżą. O moich siostrach łyżeczkach nic nie mówię, bo one potrafią tylko obojętnie milczeć. Przepraszam, przepraszam — jedna z nich, taka wredna, której nigdy nie można było domyc z brudu — zaczęła się perfidnie bronić:

— Proszę mnie zostawić! Niech pan, proszę pana Niemca, policzy nas dokładnie. Jednej brakuje. Schowała się gdzieś na dnie walizki. Niech pan, proszę pana okupanta, znajdzie ją, a mnie niech pan, proszę pana wartownika, zostawi w spokoju.

Wredna szuja — pomyślałam i jeszcze ciaśniej otuliłam się ręcznikiem Pani Heni. Ogarnął mnie różany zapach i zrobiło się bezpiecznie. To mnie chyba uratowało, ale poczułam, że zapadam się w straszną rozpacz, bo cała moja srebrna rodzina zostaje oddzielona na zawsze od rodziny Państwa Rochmanów. Wydało mi się, że znikam, rozpuszczam się, rozpadam na miliony srebrnych cząstek, a te cząstki zamieniają się



w czarne kropki, a te czarne kropki ulatują do nieba, a to niebo jest jeszcze bardziej czarne. Tak chyba wygląda piekło.

Zostałam sama, samiutka. Leżałam pod ręcznikiem Pani Heni, otulona jej różanym zapachem, i wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że jedyną rodziną, jaka mi została, są Państwo Rochmanowie, Pani Henia i Pan Josek. Bo mojej srebrnej rodziny sztucców już nigdy nie zobaczę. Nie ujrzę odważnych widelców, ciętych noży, dumnych łyżek, słodkich widelczyków i milczących łyżeczek — nawet tej wrednej łyżeczki donosicielki. Zdałam się na to, co los sprawi.

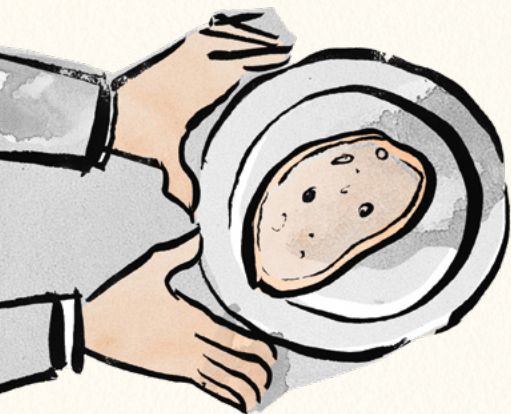
A los sprawił, że nastały nędza i głód. Pan Aron Rochman nie miał już fabryki produkującej skórzane rzeczy dla wojska, Pan Josek Koper nie był już współwłaścicielem banku, Pani Sara posiwała, oczy Pani Heni zrobiły się z rozpaczy bardziej szare niż zielone. Na ulicy Nalewki zapanował smutek, chociaż przed wojną była gwarna jak ul i wesoła jak karuzela. Raz po raz na naszej ulicy ktoś umierał z głodu albo na chorobę, która nazywa się tyfus. Często były to dzieci. Podczas kolacji szabasowych nie było już *cymesu*, *gefilte fisz* ani *kneidlachu*. Zamiast chały była zeschnięta kromka chleba. Ja leżałam samotnie w kredensie,



czekając w beznadziei, że ktoś kiedyś mnie ujmie ciepłą dłonią.

Pewnego dnia moje życzenie się spełniło: poczułam dotyk palców zielonookiej Heni. Patrzyła na mnie smutnym wzrokiem. Pani Henia miała okrągły brzusek. Była w ciąży.

20



© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2026
© Copyright by Cezary Harasimowicz, 2026
© Copyright by Karina Piwowarska, 2026

Redakcja: Małgorzata Piotrowicz
Korekta: Joanna Dzik

Projekt okładki i makiety: Magdalena Wójcik-Zienkiewicz
Skład i redakcja techniczna: Igor Nowaczyk





Zdjęcia autora i Biety Ficowskiej wewnątrz książki:
© Maciej Zienkiewicz Photography, archiwum wydawnictwa
Retusz: Katarzyna Stachacz

Producenci wydawniczy:
Sylwia Reguła, Magdalena Wójcik-Zienkiewicz, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

L  R A
W Y D A W N I C T W O

Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

Druk i oprawa: ReadMe

Srebrna łyżeczka, przeganiana wokół talerza przez siostry łyżki i braci widelce, jako jedyna z kompletu trafia z Państwem Rochmanami do warszawskiego getta. Pewnego dnia w okrutnej, szarej codzienności rozbłyśka promień, który trzeba chronić jak największy skarb. Cudowna łyżeczka zostaje towarzyszką i cichą opiekunką światła...



„Cudowna łyżeczka Biety” chwytą za serca dzięki poetyckiej prozie Cezarego Harasimowicza i nastrojowym ilustracjom Kariny Piwowskiej. To naprawdę niezwykła książka, napisana z wielką czułością, wrażliwością i ciepłem.



Historia Biety Ficowskiej to opowieść o cudzie odwagi i ocalonego dzieciństwa. Wśród mroku wojny i nieludzkiego okrucieństwa znalazły się ręce, które potrafiły nieść życie – ręce Ireny Sendlerowej i tych, którzy mieli serce większe niż strach. Ta książka przypomina, że nawet w najciemniejszych czasach zwycięża dobro, a nadzieja potrafi przetrwać w najmniejszym geście – w srebrnej łyżeczce, w imieniu, w pamięci. Bieta Ficowska, odznaczona w 2025 roku Orderem Uśmiechu, jest świadectwem mocy dziecięcej siły i dorosłej odpowiedzialności. Jej historia zobowiązuje – do wrażliwości, odwagi i troski o każde dziecko. To poruszająca lekcja człowieczeństwa, którą powinniśmy przekazywać kolejnym pokoleniom.

dr Marek Michalak
Kancelarz Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu
Rzecznik Praw Dziecka (2008–2018)

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO



Patronat:
Międzynarodowa Kapituła
Orderu Uśmiechu

ISBN: 978-83-68577-74-7



cena: 66,99 zł
(w tym 5% VAT)